

NEW YORK TIMES

BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

DEBBIE MACOMBER

Skrawki życia



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).

Debbie Macomber

Skrawki życia

Tłumaczyła
Monika Łesyszak

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ręczny wyrób skarpet pozwala nam nawiązać kontakt z historią. Otrzymujemy wgląd w życie dziewiarek. Dziewiarstwo ręczne wymagało w zamierzchłych czasach tych samych umiejętności, które musimy dzisiaj opanować, oraz tych samych technik, jakie i dzisiaj odtwarzamy.

Nancy Bush, autorka poradników: „Folk Socks” (1994), „Folk Knitting in Estonia” (1999), „Knitting on the Road, Socks for the Traveling Knitter” (2001)

LYDIA HOFFMAN

Robienie na drutach uratowało mi życie. Przetrwałam dwa przewlekłe okresy nawrotu nowotworu, który umiejscowił w moim mózgu guzy, powodujące koszmarnie bóle głowy. Wcześniej nawet sobie nie wyobrażałam, że człowiek może znieść takie tortury. Rak zrujnował moje życie przed dwudziestym rokiem życia i później, ale za wszelką cenę postanowiłam przeżyć. Po raz pierwszy usłyszałam przerażającą diagnozę w wieku

szesnastu lat. Nauczyłam się robić na drutach podczas chemioterapii. Sąsiadka z rakiem piersi, która dziergała podczas zabiegów, wprowadziła mnie w arkana tej sztuki. Chemioterapia była okropnym przeżyciem, chociaż nie tak straszliwym jak bóle głowy. Tylko dzięki robótkom jakoś przetrzymałam niezliczone godziny osłabienia i mdłości. Kłębek przędzy i para drutów pozwoliły mi uwierzyć, że potrafię dokonać tego, co postanowię. Włosy wypadały mi garściami, żołądek nie trawił więcej niż kilka kęsów naraz, ale za to umiałam nabrać oczko, odtworzyć wzór i zrealizować własny projekt. Ceniłam swoje jedyne w tym okresie osiągnięcie jak bezcenny skarb.

Moje życie uratował także ojciec. Podnosząc mnie na duchu, sprawił, że starczyło mi sił, żeby przeżyć ostatni atak choroby. Pozostałam przy życiu, ale on niestety nie. W akcie zgonu podano atak serca jako przyczynę śmierci, ale ja uważam, że zniszczył go nawrót mojego nowotworu. Spadł na niego cały ciężar opieki nade mną. Mama nigdy nie umiała postępować z chorymi. Ojciec dodawał mi otuchy, walczył z lekarzami, wymuszał na nich stosowanie najlepszych metod leczenia. To on tchnął we mnie na nowo wolę życia. Skoncentrowana wyłącznie na własnej walce o przetrwanie, nie

zdawałam sobie sprawy, jak wysoką cenę płaci za mój powrót do zdrowia.

Podczas gdy u mnie nastąpił okres remisji, jego serce nie wytrzymało. Po jego śmierci stanęłam przed dylematem, co począć z resztą życia. Pragnęłam złożyć mu hołd niezależnie od tego, jaką drogą pójdę. Innymi słowy, ja, Lydia Hoffman, zdecydowałam, że podejmę każde ryzyko, byle zostawić po sobie jakiś ślad. Z perspektywy czasu tamta deklaracja brzmi dość melodramatycznie, lecz wtedy, rok temu, właśnie tak to odczuwałam. Pewnie spytacie, jakiej to doniosłej przemiany dokonałam? Otóż otworzyłam sklep z włóczką przy Blossom Street w Seattle. Zapewne tego rodzaju przedsięwzięcie nie robi na nikim wstrząsającego wrażenia, lecz dla mnie stanowiło wówczas wielkie wyzwanie. Podejrzewam, że Noe przeżywał podobne dylematy, budując arkę w czasie suszy. Ja, która nie wytrzymałam w żadnej pracy dłużej niż kilka tygodni, nie wiedząc nic o finansach, bilansach czy planach, zainwestowałam co do centa wszystkie odziedziczone po dziadkach pieniądze, żeby założyć własny interes. Wykorzystałam za to w pełni jedyną obszerną wiedzę, jaką posiadałam: znajomość włóczek i umiejętność dziergania.

Oczywiście napotkałam wiele trudności. W czasie gdy otwierałam „Świat Włóczki”, ulica była w remoncie. Nawiasem mówiąc, żona architekta, który projektował jej zabudowę, Jacqueline Donovan, należała do grona uczestniczek mojego pierwszego kursu robótek ręcznych. Wraz z pozostałymi uczennicami, Carol i Alix, pozostała do tej pory jedną z moich najlepszych przyjaciółek. Ubiegłego lata, kiedy rozpoczynałam działalność, ulicę zamknięto dla ruchu kołowego. Aby dotrzeć do sklepu, należało na piechotę pokonać liczne przeszkody wśród kurzu i hałasu. Nie pozwoliłam, by przeciwności osłabiły mój zapał. Ponieważ klientki również go podzielały, uwierzyłam, że zrealizuję swój cel.

Od rodziny nie otrzymałam tak wielkiej pomocy, jak można by przypuszczać. Mama, niech Bóg ją błogosławi, dodawała mi otuchy, jak potrafiła, lecz po odejściu taty zupełnie opadła z sił. Do tej pory nie podźwignęła się z załamania nerwowego. Przez większą część dnia krąży bez celu po domu, zatopiona w posępnej zadumie. Kiedy przedstawiłam swój zamiar, nie zniechęcała mnie, ale też nie zachęcała. Powiedziała tylko:

- Pewnie, kochanie, spróbuj, jeśli czujesz, że podołasz zadaniu.

Więcej entuzjazmu nie śmiałabym nawet oczekiwać.

Natomiast moja starsza siostra, Margaret, bez najmniejszych oporów wmaszerowała do sklepu w dniu otwarcia tylko po to, żeby przedstawić wszelkie możliwe zastrzeżenia. Tłumaczyła, że gospodarka przeżywa kryzys, ludzie sto razy oglądają każdego centa, zanim go wydadzą, a zatem jeżeli szczęście mi dopisze, wytrwam najdłużej pół roku. Po dziesięciu minutach wysłuchiwania najczarniejszych prognoz byłam gotowa zwinąć interes. W ostatniej chwili uświadomiłam sobie, że dopiero go założyłam. Powiedziałam sobie, że skoro zainwestowałam tyle pracy i pieniędzy, należałoby przynajmniej sprzedać choć jeden motek włóczki, dopóki nie zrezygnuję.

Nie zrozumcie mnie źle – kocham Margaret. Zanim zachorowałam, różnie między nami bywało, raz gorzej, raz lepiej, jak to między rodzeństwem. Kiedy po raz pierwszy rozpoznano u mnie nowotwór, zachowała się wspaniale: kupiła pluszowego misia, żeby mi towarzyszył w szpitalu. Mam go gdzieś do tej pory, jeżeli Wąsik nie porwał go na strzępy. Mój kot uwielbia bowiem drapać wszystkie kosmate przedmioty.

Podczas nawrotu choroby Margaret diametralnie zmieniła nastawienie. Dawała do zrozumienia, że sama ściągnęłam na siebie nieszczęście, żeby skupić uwagę otoczenia. Wychodząc z takiego założenia, powinna popierać moje dążenie do osiągnięcia niezależności. Nic takiego nie nastąpiło. Od początku krytykowała moje wysiłki, wynajdywała setki przeszkód, które jej zdaniem miały doprowadzić do nieuchronnej porażki. Dopiero po pewnym czasie przekonały ją pozytywne rezultaty.

Ogłędnie mówiąc, Margaret nie należy do osób wylewnych ani miłych w obejściu. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo się o mnie troszczy, póki doktor Wilson nie wezwał mnie wkrótce po otwarciu sklepu po raz trzeci na te koszmarnie testy. Zabrakło mi sił do walki z chorobą, świat przestał dla mnie istnieć. Postanowiłam, że jeśli wystąpią przerzuty, nie wyrażę zgody na dalsze leczenie. Nie chciałam wprawdzie umierać, ale żyć z wyrokiem śmierci również nie miałam zamiaru.

Mój pesymizm tylko irytował Margaret. Rozmowy o śmierci przygnębiały ją, podobnie jak większość zdrowych ludzi. Człowiek, który w każdej chwili może odejść z tego świata, traktuje je jak rzecz normalną. Nie wyczekuję końca, ale też się go nie obawiam. Na szczęście badania nie wykazały

kolejnego nawrotu choroby. Obecnie rozkwitam, tak jak i moje małe przedsiębiorstwo. Wspominam tygodnie oczekiwania na diagnozę tylko dlatego, że właśnie wtedy odkryłam, jak bardzo siostra mnie kocha. W ciągu minionych siedemnastu lat płakała tylko dwa razy: kiedy zmarł ojciec i kiedy doktor Wilson wręczył mi świadectwo zdrowia.

Ledwie wróciłam do pracy w pełnym wymiarze, Margaret zaczęła mnie namawiać na odnowienie kontaktów z Bradem Goetzem, który przywozi towar do „Świata Włóczki” swoją ciężarówką. Zaczęliśmy się spotykać w ubiegłym roku. Brad samotnie wychowuje ośmioletniego synka, Cody’ego. Jest rozwiedziony i wprost oszalamiająco przystojny. Kiedy po raz pierwszy wkroczył do sklepu z kilkoma pudłami włóczki, zaparło mi dech. Mało mi szczęka nie opadła. Z wrażenia drżała mi ręka, gdy podpisywałam odbiór dostawy. Trzy razy ponawiał zaproszenie, zanim zgodziłam się pójść z nim do kawiarni. Gdyby Margaret mnie nie zmusiła, pewnie odmówiłabym i po raz czwarty, tak bardzo się bałam, że stracę dla niego głowę.

Zawsze nazywałam „Świat Włóczki” afirmacją życia. Moja siostra natomiast sądzi, że zbudowałam sobie wygodną kryjówkę, żeby uciec przed

światem. W gruncie rzeczy przyznaję jej rację. Poza ojcem i lekarzami praktycznie nie znałam mężczyzn, toteż nie umiem z nimi postępować. Jednak Margaret nie słuchała żadnych wymówek. Dotąd naciskała, aż zaczęłam regularnie wychodzić z Bradem. Później nastąpiły wypadki do restauracji na kolację, pikniki z jego synem, wreszcie wspólne wyjścia na mecze. Pokochałam Cody'ego równie mocno, jak moje dwie siostrzenice, Julię i Hailey.

Obecnie często widuję Brada, którego porzuciłam, gdy wezwano mnie do szpitala na powtórne badania. Margaret wyrzucała mi, że popełniłam wielki błąd, ale Brad mi wybaczył. Nadal zachowuję ostrożność, nie przyspieszam biegu wydarzeń, co mu bardzo odpowiada. Przeżył wielki zawód, gdy rzuciła go żona pod pretekstem „odnalezienia samej siebie”. Biorę także pod uwagę uczucia Cody'ego. Chłopca łączy z ojcem bardzo silna więź, a ponieważ mnie również pokochał, nie próbuję jej rozluźnić. Na razie wszystko idzie ku dobremu. Coraz częściej rozmawiamy o wspólnej przyszłości. Brad i Cody stanowią integralną część mojego życia. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym ich utracić.

Aczkolwiek Margaret z początku nie wróżyła mi powodzenia, obecnie wspiera moje działania.

Pracuje u mnie w sklepie. Właściwie to żaden cud, siostry powinny trzymać ze sobą. Czasami dochodzi do konfliktów, ale znalazłyśmy wspólny język, co mnie bardzo cieszy.

Zanim odejdę zbyt daleko od tematu, chciałabym opisać swój sklep.

Kiedy tylko ujrzałam lokal, natychmiast uznałam, że odpowiada mi pod każdym względem. Mimo bałaganu w najbliższej okolicy i nieustannych przeprowadzek w sąsiedztwie doskonale nadawał się do moich celów. Byłam gotowa podpisać umowę najmu, jeszcze zanim weszłam do środka. Już sama nazwa ulicy - Kwitnąca - pobudziła moją wyobraźnię. Zachwyciły mnie olbrzymie okna wystawowe. Teraz przeważnie sypia tam Wąsik, zwinięty w kłębek między motkami wełny. Skrzynki z kwiatami na parapetach przypominały sklep z rowerami, który przed laty prowadził ojciec. Odnosiłam wrażenie, że on sam daje mi błogosławieństwo na nową drogę życia. Widok zakurzonych wprawdzie, lecz wielce urokliwych markiz w kolorowe pasy przypieczętował decyzję. Zyskałam pewność, że stworzę ciepłe, przytulne wnętrze. Rzeczywiście, tak jak sobie wymarzyłam, „Świat Włóczki” ma jakiś staroświecki, magiczny urok.

Remont ulicy niedługo zostanie zakończony. Dawny bank przekształcono na szalenie drogi apartamentowiec, a sąsiadujący z nim sklep z kasetami na kawiarnię w stylu francuskim, nazwaną „French Cafeu”. Alix Townsed, uczestniczka mojego pierwszego kursu, wcześniej sprzedawała tam kasety wideo. Po oddaniu nowego lokalu do użytku chętnie w nim pozostała. Obecnie pracuje w swoim nowym zawodzie – cukiernika. Dawna „Annie’s Cafeu” na razie pozostaje zamknięta, ale przy tak atrakcyjnym sąsiedztwie z pewnością wkrótce znajdzie najemcę.

W pierwszy wtorek czerwca zadzwonił dzwonek u drzwi. Margaret weszła do środka energicznym krokiem. Był piękny poranek. Zwykle o tej porze na północnozachodnim wybrzeżu Pacyfiku rozpoczyna się lato.

Uniosłam głowę znad ekspresu do kawy w pokoju biurowym na zapleczu.

- Dzień dobry! - zawołałam wesoło.

Nie od razu odpowiedziała. Nieco później wydała dźwięk przypominający raczej pomruk niż pozdrowienie. Znam siostrę na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że ma zły humor. Nie wypytywałam, zostawiłam jej czas, żeby nieco ochłonęła. Kiedy pokłóciła się z mężem albo z którąś z córek,

zawsze wcześniej czy później zwierzała mi się ze swoich kłopotów.

- Właśnie parzę kawę - zagadnęłam, gdy już do mnie dołączyła.

Bez słowa wzięła z tacy świeżo umytą filiżankę. Następnie sięgnęła po dzbanek. Nawet nie zauważyła, że ze zbiorniczka nadal wycieka wrzątek. W końcu nie wytrzymałam napięcia.

- Co cię trapi? - spytałam prosto z mostu.

Ostatnio irytowało mnie coraz bardziej, że bez skrępowania manifestuje złe nastroje w miejscu pracy.

- Wybacz, nic takiego - mruknęła z nieśmiałym uśmiechem. - Zapomniałam, że dziś otwarte, pusto tu jak w poniedziałek.

W pierwszy dzień tygodnia nie otwieramy sklepu. Zaczynamy handlować dopiero we wtorek. Poobserwowałam chwilę Margaret, próbując odgadnąć, co ją gnębi, ale nic nie wyczytałam z wyrazu twarzy.

Siostra jest energiczną, wysoką kobietą, o szczupłej, wysportowanej sylwetce i szerokich ramionach. Wygląda na atletkę, choć od lat nie trenuje. Ma gęste, ciemne włosy, które układa tak samo od czasów liceum - z przedziałkiem pośrodku. W dodatku męczy je nawijaniem końców

na lokówkę, a później jeszcze utrwała fryzurę lakierem. Zawsze chodziła do szkoły starannie uczesana, w odprasowanych ubraniach, ale wolałabym, żeby jako dorosła osoba zmieniła styl na bardziej nowoczesny.

- Ogłaszam nabór na nowy kurs - oświadczyłam, żeby odwrócić jej uwagę od problemów.

- Czego zamierzasz uczyć?

Całe szczęście, że nareszcie coś ją zainteresowało. Prowadziłam już lekcje dla początkujących, zaawansowanych, zrealizowałam też projekt pod nazwą „Jasna wyspa”. Od pewnego czasu chodził za mną zupełnie nowy pomysł.

- Czyżbym zadała zbyt trudne pytanie? - wyrwał mnie z zadumy drwiący głos Margaret.

- Tym razem zaprezentuję technikę robienia skarpet.

Niedawno otrzymałam dostawę najnowszych wzorów z Europy. Zarówno mnie, jak i klientki zachwylił ostatni krzyk mody - włóczka ufarbowana w taki sposób, żeby sama tworzyła ciekawy wzór podczas robienia. Nieodmiennie zaskakiwał mnie końcowy efekt, osiągnięty nie dzięki umiejętnościom dziewiarki, lecz talentom projektanta.

- Świetnie. Sądzę, że zastosujesz dwie pary okrągłych drutów zamiast pięciu zaostrzonych z dwóch stron.

- Oczywiście.

- Zauważyłam, że dzierganie skarpet robi ostatnio furorę - stwierdziła Margaret niemalże obojętnym tonem.

Popatrzyłam na nią badawczo. Wcale mnie nie cieszyło, że zaakceptowała pomysł bez zastrzeżeń. Zawsze znajdowała co najmniej kilka powodów, żeby wywróżyć mi klęskę, a ja zawzięcie broniłam swego stanowiska. Sprzeczki na temat każdego planu niemalże weszły nam w krew, należały do naszych stałych rytuałów. Nic dziwnego, że brakowało mi ostrej wymiany zdań. Spróbowałam sprowokować przekorną siostrzyczkę.

- Naprawdę uważasz, że program nowego kursu zainteresuje klientki?

- Jasne - mruknęła tylko.

Nie obudziłam w niej woli walki. Zdecydowanie coś jej dolegało. W zasadzie nie potrzebowałam argumentów za ani przeciw. Już podjęłam decyzję. Niezależnie od mody lubię robić skarpetki. Szybko powstają, świetnie nadają się na prezent, a każda para stanowi oddzielny projekt. Po długiej, mozolnej pracy nad swetrami „Afgańskim” i „Jasną

wyspą” nabrałam ochoty na mniej czasochłonne zajęcie, zapewniające szybki, ciekawy efekt. Zaplanowałam lekcje na wtorki, kiedy najmniej klientów zagląda do sklepu.

Mimo że nie oczekiwałam porady, małomówność Margaret niepokoiła mnie coraz bardziej. Jeszcze raz zerknęłam na nią ukradkiem. Dostrzegłam, że w jej oczach błyszczą łzy. Wpadłam w popłoch. Ona prawie nigdy nie płakała. Spróbowałam delikatnie wy badać przyczynę zmartwienia bez wywierania nacisku.

- Dobrze się czujesz?

- Skończ wreszcie to śledztwo - odburknęła ze złością.

Odetchnęłam z ulgą. Zdecydowanie wolałam wściekłość od obojętności. Przynajmniej znów była sobą.

- Zechcesz namalować szyld do powieszenia w oknie?

Margaret ma o wiele większe zdolności plastyczne ode mnie. Zawsze na niej polegam, jeśli chodzi o aranżację wystawy czy wnętrza.

- W południe powinnam go już zawiesić - odrzekła bez cienia entuzjazmu.

- Wspaniale. - Podeszłam do drzwi i odwróciłam wywieszkę napisem „Otwarte” na zewnątrz.

Wąsik obserwował moje poczynania ze swego stanowiska na wystawie. Zauważyłam, że ziemia w doniczkach z purpurowym geranium odmiany Martha Washington wyschła i popękała. Wyszłam na zewnątrz, żeby je podlać. Kątem oka dostrzegłam brązową plamę wyjeżdżającej zza rogu ciężarówki. Serce podskoczyło mi z radości. Przyjechał Brad!

Zaparkował koło kwaciarni Fanny tuż obok „Świata Włóczki”. Z szerokim uśmiechem wyskoczył na chodnik. Uwielbiam, kiedy się uśmiecha. Jego twarz jaśnieje, cała sylwetka promienieje radością. Błękitne oczy niemalże świecą własnym światłem, rozpoznałabym je wszędzie.

- Jaki piękny dzień - zagadnęłam wesoło. - Przywiozłeś mi towar?

- Nie, w tej dostawie otrzymasz tylko mnie. Za to wygospodarowałam kilka minut na kawę, jeśli akurat masz pod ręką.

- Oczywiście, już jest gotowa.

Brad wpadał do mnie dwa razy w tygodniu, z dostawą lub bez niej, gdy tylko znalazł trochę czasu. Te wizyty stały się naszym rytuałem. Nie przesiadywał długo. Napelniał sobie kubek podróżny, wykorzystywał okazję, żeby skraść mi całusa, po czym wracał do samochodu. Jak zwykle

podążyłam za nim na zaplecze i jak zwykle udawałam zaskoczenie, kiedy mnie przytulił. Uwielbiam jego pocałunki. Tym razem zaczął od czoła, następnie powoli przesunął wargami wzdłuż twarzy, zanim dotarł do ust. Kiedy poczułam ich smak, przez całe ciało przebiegł jakby prąd elektryczny. Zawsze reaguję równie intensywnie, z czego on doskonale zdaje sobie sprawę. Przytrzymał mnie w ramionach tak długo, aż odzyskałam równowagę. Wreszcie puścił mnie, sięgnął po dzbanek z kawą i znów odwrócił się w moją stronę, marszcząc brwi.

- Czy Margaret ma jakieś kłopoty z Mattem? - zapytał zniechęcony.

Już otwierałam usta, żeby zapewnić, że wszystko w porządku, ale zmieniłam zdanie. Uświadomiłam sobie bowiem, że nie znam jej sytuacji.

- Czemu pytasz? - próbowałam ostrożnie wy badać, co wie.

- Odnoszę wrażenie, że nie jest dzisiaj sobą - oświadczył łagodnym tonem.

Skinęłam głową. Mnie też martwiło, że wbrew swoim zwyczajom nie wykorzystała okazji do sprzeczeki.

- Faktycznie wygląda na to, że coś ją trapi - potwierdziłam.

- Chcesz, żebym ją zapytał? - Zapomniał ściszyć głos.

Postanowiłam go powstrzymać. Wolałam nie ryzykować, że ofuknie go tak jak mnie przed paroma minutami.

- Lepiej dajmy jej spokój - mruknęłam dość niepewnie. Po krótkim namyśle doszłam do wniosku, że Brad łatwiej przełamie jej opory niż ja. Margaret przepadała za nim. - Wrócimy do sprawy, ale nie teraz. Znajdziemy jakąś okazję do wspólnego spotkania - zaproponowałam pojednawczo.

- Najlepiej bez Matta. - Pokręcił głową.

- Racja. - Przygryzłam dolną wargę. - Masz jakiś pomysł?

Zanim padło choćby jedno słowo, Margaret szarpnięciem odsunęła kotarę oddzielającą sklep od zaplecza. Zmierzyła nas chmurnym spojrzeniem. Podejrzewam, że zrobiłam równie głupią minę jak Brad. Obydwoje wyglądaliśmy i czuliśmy się jak przyłapani na gorącym uczynku winowajcy.

- Słuchajcie no, gołąbeczki, jeśli następnym razem przyjdzie wam chęć mnie obmawiać, proponuję, żebyście robili to szeptem. - Opuściła zasłonę, po czym wróciła za ladę.

ROZDZIAŁ DRUGI

ELISE BEAUMONT

Elise Beaumont oczekiwała przejścia na emeryturę z nadzieją i obawą. Po zakończeniu pracy w szkolnej bibliotece korzystała z uroków wolności. Wyłączyła budzik w radiu, wstawiała, kiedy się wyspała, jadła, kiedy zgłodniała, a nie wtedy, gdy przypadała wyznaczona pora na przerwę śniadaniową.

Wkrótce przyszły jednak rozczarowania. Przez całe lata pracy oszczędzała, skąpiła sobie wszystkiego, żeby na starość wybudować dom na własnym kawałku ziemi. Po kilku miesiącach zbierania informacji i niezliczonych wizytach w przedsiębiorstwach budowlanych znalazła zarówno firmę deweloperską, którą uznała za solidną, jak i działkę, o jakiej marzyła. Ta ostatnia leżała na obrzeżach miasta, wprawdzie bez widoku na ocean, ale za to na skraju lasu iglastego. Elise wyobrażała sobie, że popijając kawę na tarasie o poranku, będzie obserwować, jak sarny i jelenie wychodzą z lasu na łąkę. Zlikwidowała lokatę

bankową, żeby wpłacić żądaną sumę na poczet przyszłej inwestycji. Niestety, przedsiębiorstwo, któremu zaufała, zawiodło jej oczekiwania – ogłosiło bankructwo miesiąc po zainkasowaniu pieniędzy. Elise została bez pieniędzy, podobnie jak inni klienci. Po oszczędnościach całego życia i marzeniach o własnym domu pozostała jej jedynie sarta dokumentów sądowych. Nic nie zapowiadało rychłego zakończenia tego koszmaru.

Leżąc w łóżku, Elise wspominała, że od dawna planowała odwiedzić rodzinne strony, okolice zatoki Puget, gdzie się urodziła i wychowała. Opłakany stan finansów zmusił ją do odłożenia sentymentalnej podróży na bliżej nieokreśloną przyszłość. Nie zamierzała jednak czekać z założonymi rękami na zakończenie procesu. Gdyby pozostała beczynna, rozpamiętywałyby w nieskończoność własną lekkomyślność i brak szczęścia. Żeby uchronić się przed rozstrojem nerwowym, postanowiła po raz pierwszy w dorosłym życiu pójść za głosem powołania i zrealizować swą twórczą pasję. Zapragnęła wrócić do robótek ręcznych, a także zapisać się na kurs malarstwa olejnego. Ponieważ spędziła całe życie wśród książek, kusilo ją również, żeby napisać własną powieść, najchętniej dla dzieci. Nie brakowało jej i innych

pomysłów, ale ze względu na brak środków wszystkie musiały poczekać na lepsze czasy. Na razie tkwiła w martwym punkcie. Prawnicy kompletowali niezliczone dokumenty, żeby złożyć zbiorowy pozew w imieniu poszkodowanych.

Później należało czekać nie wiadomo jak długo, aż sprawa trafi na wokandę. Przewidywała, że żadna z pokrzywdzonych osób nie ujrzy nawet części pieniędzy przed upływem roku, jeżeli w ogóle cokolwiek odzyskają. Nie pozostało jej nic innego, jak tylko uzbroić się w cierpliwość i nie tracić nadziei.

Problemy z firmą budowlaną dopiero zapoczątkowały całą lawinę nieszczęść. Oczekując na przeprowadzkę, Elise wypowiedziała umowę najmu dotychczasowego mieszkania. Popełniła wielki błąd. Ponieważ w Seattle niewiele lokali stało pustych, opłaty za wynajem rosły w zastraszającym tempie. Istniała obawa, że nie wynajmie nowego mieszkania po przyzwoitej cenie. Przeraziła ją myśl, że wyda całą emeryturę na czynsz. Córka namówiła ją, żeby przeniosła się do niej. Nie widząc innego wyjścia, Elise wyraziła zgodę, chociaż nie chciała obarczać sobą rodziny. Postanowiła, że pobędzie u niej tylko tak długo, jak to

konieczne. Tymczasem minęło pół roku i nic nie zapowiadało zmiany na lepsze.

Elise zabroniła sobie dalszego rozpamiętywania nieszczęść, jako że to prowadziło tylko do załamania nerwowego. Tłumaczyła sobie, że i tak wiele otrzymała od życia. Była zdrowa, miała córkę, wsparcie najbliższych, no i wspaniałe wnuki. Właśnie sześćioletni John załomotał gwałtownie do drzwi.

- Babciu, nie śpisz? Mogę wejść?! - zawołał.

Elise wstała z łóżka i otworzyła chłopcu drzwi. Na piegowatej buzi gościł szelmowski uśmiech, rude włosy stały prawie pionowo, jak u Mavericka w latach młodości. Najmłodszy wnuczek przypominał go pod każdym względem. Ilekroć popatrzyła na czuprynę w kolorze marchewki, wspominała byłego męża. W ciągu ostatnich trzydziestu lat bardzo rzadko go widywała. Do tej pory nie potrafiła sobie wytłumaczyć, co jej strzeliło do głowy, żeby poślubić pokerzystę. Jakże go kochała, wprost nad życie! Poznała go w sklepie spożywczym, jakby nie istniały bardziej romantyczne miejsca! Kilka tygodni później wzięli ślub.

Jeszcze zanim przysła na świat Aurora, zaczęły się problemy. Marvin „Maverick” Beaumont pracował wtedy w firmie ubezpieczeniowej, lecz od

początku ciągnęło go do kart. Jego namiętność do hazardu zniszczyła małżeństwo. Elise wielokrotnie groziła rozwodem, Maverick nieodmiennie błagał o przebaczenie i przyrzekał poprawę. Za każdym razem dawała mu szansę, którą konsekwentnie marnował, aż wreszcie straciła cierpliwość i złożyła pozew w sądzie. Już nigdy nie pokochała tak mocno żadnego mężczyzny. Próbowwała, lecz nikt inny nie dał jej szczęścia. Ponieważ pragnęła powtórnie wyjść za mąż, wznowiła kontakty towarzyskie, w nadziei że spotka odpowiedniego partnera. Najbliższy jej sercu był Jules, muzyk z orkiestry symfonicznej. Gdy Aurora skończyła piętnaście lat, Elise odkryła, że ukochany ma w San Francisco żonę i dwoje dzieci. Kompletnie zdruzgotana, zerwała znajomość. Później już nie szukała nowych związków.

Aurora nerwowym krokiem przemierzyła hol, chwyciła synka za ramię i wyciągnęła na korytarz.

- Zostaw babcię w spokoju, John - upomniała go surowo, po czym zwróciła się do matki: - Przepraszam, ciągle im powtarzam, żeby cię nie budzili. - Posłała jej pełne skruchy spojrzenie.

- W niczym mi nie przeszkodził, już nie spałam.

Chociaż Elise nie planowała zamieszkać z rodziną córki po przejściu na emeryturę, jej

przeprowadzka przyniosła korzyści obydwu stronom. Aurora nie pracowała, zajmowała się domem i dziećmi, tak więc Elise pomagała jej w opiece nad chłopcami. Nalegała również, że zapłaci za swój pobyt w ich domu. Zięć i córka wyrazili zgodę na przyjęcie zgoła symbolicznej sumy, która mimo wszystko podreperowała domowy budżet. David, informatyk, instalował oprogramowanie w różnych firmach w całej Ameryce Północnej. Często wyjeżdżał na tydzień lub dwa. Stale przebywającą w domu Aurorę ogromnie cieszyło towarzystwo matki. I wzajemnie. Meble Elise stały w przechowalni, ona sama trwała w zawieszeniu, czekając na wynik procesu, ale miała dach nad głową, wsparcie najbliższych i bratnią duszę stale przy sobie.

- Zabierzesz nas do parku po południu? - nalegał John.

- Jeżeli zdążę. Mam kilka spraw do załatwienia, trudno mi na razie powiedzieć, kiedy wrócę - odrzekła ostrożnie. Nie lubiła mu odmawiać.

- Chętnie ci pomogę - pospieszył z ofertą.

Zawsze usłużny, szybki i zręczny chłopczyk nawet na świat przyszedł miesiąc przed planowanym terminem.

- Nic z tego, kochanie, nie zapominaj, że chodzisz do przedszkola.

Mały spochmurniał, lecz natychmiast spróbował ukryć rozczarowanie. Wzruszył ramionami i bez słowa wrócił do pokoju, do brata.

- Zamierzam obejrzeć ten nowy sklep z włóczką przy Blossom Street - wyjaśniła Elise córce, gdy zostały same.

Zwróciła na niego uwagę w czasie przechadzki po wizycie w kancelarii swojego prawnika. Po powrocie wspomniała o tym Aurorze. Przypuszczała, że ucieszy ją wiadomość, że pragnie powrócić do hobby z lat młodości. Widok odnowionych domów sprawił jej miłą niespodziankę. Wcześniej zapuszczona dzielnica przynosiła tylko wstyd miastu. Elise myślała, że zniszczone budynki zostaną wyburzone. Ku jej zaskoczeniu architekt przywrócił im dawne piękno. Kolorowe markizy, skrzynki z kwiatami i ciekawe witryny zapraszały do sklepów. Ich nostalgiczna uroda przenosiła przechodnia w dawną epokę, tworzyła niepowtarzalny, staroświecki klimat. Aż trudno było uwierzyć, że zaledwie kilka przecznic dalej strzelają w niebo drapacze chmur. Za najbliższym wzniesieniem leżało ruchliwe centrum Seattle, pełne biur, instytucji finansowych, towarzystw ubezpieczeniowych oraz wszelkich możliwych przedsiębiorstw.

Przystanąwszy przed wystawą „Świata Włóczki”, Elise przeczytała ogłoszenie o nowym kursie. Choć trudna sytuacja finansowa nie pozwalała jej korzystać z wolnego czasu w taki sposób, jak sobie wymarzyła, nie zamierzała odmawiać sobie drobnych przyjemności, zwłaszcza że robienie na drutach mogło jej pomóc przynajmniej na chwilę zapomnieć o kłopotach.

Po wypiciu herbaty w swoim pokoju ubrała się do wyjścia. Zachowała szczupłą, młodzieńczą sylwetkę. Włożyła kostium w kolorze brzoskwini. Pomimo słonecznej pogody na początku czerwca na dworze panował jeszcze chłód, potrzebowała ciepłego żakietu. Przy dekolcie białej bluzki przypięła ulubioną kameę, którą Maverick podarował jej jeszcze przed ślubem. Często ją nosiła.

Musiła przyznać, że były mąż nie zaniedbywał obowiązków ojcowskich. Utrzymywał z jedynaczką regularne, ale, zdaniem Elise, zbyt rzadkie kontakty. Choć sama nie chciała mieć z nim więcej do czynienia, nie robiła mu trudności. Uważała, że dziecko powinno znać ojca. Zmarszczyła brwi. W ciągu jednego poranka wbrew woli aż dwa razy wspomniała byłego męża. W gruncie rzeczy nic dziwnego. Codziennie oglądała wnuczka, podobnego do dziadka jak dwie krople wody. Najgorsze, że

im usilniej próbowała wymazać Mavericka z pamięci, tym częściej wspominała wypełnione miłością noce i dni.

Rozczesała brązowe, nietknięte siwizną włosy sięgające ramion. Były jej jedyną dumą. Spięła je klamrą na karku. Nagle zastygła w bezruchu, a serce mocniej забиło. Doskonale pamiętała, że Maverick uwielbiał, kiedy rozpuszczała włosy. Do pracy w bibliotece spinała je w ciasny koczek. Kiedy wracała do domu, mąż zaraz wyciągał wszystkie spinki, szepcząc do ucha czułe słówka.

Przygryzła wargi. Spróbowała skupić myśli na czymkolwiek innym. Weszła do kuchni w chwili, gdy Aurora napełniała mlekiem miseczki z płatkami śniadaniowymi.

- Ślicznie wyglądasz, mamusiu - pochwaliła.

Elise pokręciła głową zamiast odpowiedzi. Komplementy zawsze wprawiały ją w zakłopotanie.

- Miłego dnia w szkole! - zawołała do wnuków na pożegnanie, po czym otworzyła drzwi wejściowe.

Obydwaj odprowadzili ją wzrokiem z tak pośępnymi minami, jakby na zewnątrz czyhały straszliwe niebezpieczeństwa. Elise uwielbiała obu malców, lecz czasami zastanawiała się, jak Aurora daje sobie z nimi radę. Podziwiała ją jako żonę i matkę. Uważała, że sama zawiodła w obydwu

tych rolach. Dwa lata nieudanego pożycia z Maverickiem utwierdziły ją w przekonaniu, że nigdy nie miała predyspozycji do małżeństwa. Całe szczęście, że po życiowej katastrofie pozostał jej jedyny skarb – córka. Wyrosła tak wysoka jak ojciec, mierzyła prawie metr osiemdziesiąt. Elise odnosiła wrażenie, że dorastała razem z jedynaczką. Zawsze doskonale się rozumiały.

Maverick przez wszystkie lata po rozwodzie uczciwie płacił alimenty, a w przypiływie dobrego humoru dzwonił do córki, nie bardzo wiadomo skąd. Elise podejrzewała, że często zmieniał miejsce zamieszkania. Urodzony gracz nie znosił stabilizacji, hazard wciągnął go bez reszty. Wkrótce po ślubie porzucił stałą pracę, chociaż odnosił sukcesy w sprzedaży ubezpieczeń. Podczas gdy Elise leżała na sali porodowej, ukochany mąż znalazł sobie w poczekalni partnerów do pokera. W rezultacie przeoczył narodziny jedynaczki.

Elise podjechała autobusem numer czterdzieści siedem w dół wzgórza Pill w kierunku Blossom Street. Wysiadła trzy przystanki przed Biblioteką Publiczną, która niedawno przeszła kapitalny remont. Podczas pracy Elise poznała wielu wpływowych bibliotekarzy, między innymi Nancy Pearl, organizatorkę akcji „Całe Seattle czyta tę samą

książkę”. Znalazła wielu naśladowców, którzy rozpowszechnili jej ideę w dużych i małych miastach w całym kraju. Elise również należała do grona entuzjastów. Cieszyło ją, że biblioteki pozostały ważnym ośrodkiem życia społecznego.

Wysiadając z autobusu, mocno przyciskała torebkę. Doskonale pamiętała, że dzielnica uchodziła dawniej za siedlisko kieszonkowców i rabusiów. Obecnie sprawiała zupełnie przyzwoite wrażenie, ale ostrożność nigdy nie zawadzi. Przystanęła przy kwiaciarni, żeby popatrzeć na purpurowe goździki o niespotykanym odcieniu. Kusiło ją, żeby kupić Aurorze bukietek. Nie powinna wprawdzie szastać pieniędzmi na głupstwa, ale miała wielką ochotę sprawić jej niespodziankę. Postanowiła, że pomyśli o tym później.

Na wystawie sklepu z włóczką dostrzegła zwiniętego w kłębek kota. Zwierzątko nawet nie drgnęło na dźwięk dzwonka u drzwi, prawdopodobnie już przywykło.

- Dzień dobry - powitała ją serdecznie kobieta o miłej powierzchowności.

Druga, nieco starsza, tylko skinęła głową zza lady.

- O tak, bardzo dobry - potwierdziła Elise radośnie.

Ujęła ją zarówno uprzejmość młodej sprzedawczyni, jak i miły nastrój panujący w dobrze zaprojektowanym, nieprzeładowanym wnętrzu. Umiarowana ilość towaru pozwalała bez trudu obejrzeć zawartość każdej półki.

- Chciałabym poprosić o bliższe informacje na temat kursu - zagadnęła nieśmiało.

Rozpraszała ją mnogość kolorowych motków oraz ciekawych projektów, umieszczonych w ramkach nad każdym pudełkiem. Jej uwagę przykuł sweter z wrobionym dinozaurem na przodzie. Nie wątpiła, że zachwyciłby zarówno Johna, jak i Luke'a. Postanowiła, że pewnego dnia wydzierga taki dla każdego z wnuków.

- Zaczynamy w tym tygodniu. Planuję zaprezentować technikę robienia skarpet.

- Skarpet? - powtórzyła Elise bez cienia entuzjazmu. - Kiedyś, bardzo dawno robiłam je na pięciu drutach.

- Ja używam dwóch par okrągłych. Pozwoli pani, że pokażę efekt końcowy. - Młoda ekspedientka poprowadziła ją wzdłuż środkowego rzędu regałów.

Elise ujrzała cały szereg naciągniętych na plastikowe stopy skarpetek o ciekawych, lecz szalenie skomplikowanych wzorach. Nie potrafiłaby

zrealizować żadnego z tych projektów. Nie miała najmniejszej ochoty próbować czegoś, co przekraczało jej możliwości. Od lat nie trzymała w ręku drutów. Zanim zdążyła głośno wyrazić swoje obiekcje, właścicielka wyjaśniła, że przedza została ufarbowana w taki sposób, żeby sama tworzyła ornament. Następnie poinformowała potencjalną klientkę o terminach oraz kosztach kursu i materiałów.

- Nazywam się Lydia Hoffman, a to moja siostra, Margaret - powiedziała na zakończenie.

Elise również się przedstawiła. Dopiero teraz dostrzegła rodzinne podobieństwo. Starsza z kobiet była wyższa i solidniej zbudowana, młodsza drobna i filigranowa. Obydwie za to miały duże, ciemne oczy i wydatne kości policzkowe. Uznała, że już za długo im się przygląda.

- Niedawno przeszłam na emeryturę, dlatego chciałabym ponownie sięgnąć po druty - wyjaśniła pospiesznie, żeby ukryć zmieszanie.

- Doskonały pomysł - pochwaliła Lydia.

Elise odpowiedziała uprzejmym uśmiechem. Ujęła ją serdeczność młodej właścicielki. Starsza siostra w milczeniu porządkowała jakieś katalogi na ladzie.

- Myślę, że parę lekcji na początek dobrze mi zrobi - przyznała Elise.

- Miło mi, że pani do nas wstąpiła - odrzekła Lydia. Zaprowadziła ją za regały, gdzie stał stół i kilka krzeseł. - Jeżeli znajdzie pani czas w piątki, zapraszam także na nasze spotkania dobroczynne.

Elise wpadła w popłoch. Nie stać jej było na kolejne wydatki.

- Prowadzi pani równoległe drugi kurs? - spytała dla pewności.

- Nie. Dawne i obecne uczennice przychodzą do mnie wykonywać robótki dla różnych organizacji dobroczynnych. - Następnie opowiedziała o kocach dla fundacji „Ogrzejcie Amerykę!”, projekcie Linus oraz o tym, że robią nakrycia głowy dla pacjentów po chemioterapii.

- Czy pani dostarcza materiały? - dopytywała świadoma swych ograniczeń Elise.

- Poniekąd. Darczyńcy przysyłają mi nieodpłatnie końcówki serii na rzecz fundacji „Ogrzejcie Amerykę!”. Ja biorę na siebie część kosztów innych akcji. Sprzedaję stałym klientkom towar po znacznie obniżonej cenie.

- Brzmi zachęcająco, chyba do was dołączę - stwierdziła Elise.

Ostatnio intensywnie poszukiwała pożytecznego zajęcia, żeby nie wpaść w depresję. Należała już do klubu czytelników Biblioteki Publicznej, redagowała gazetkę kościelną, była honorowym krwiodawcą i dodatkowo w każdy poniedziałek społecznie prowadziła księgi lokalnego banku krwi.

- No i co, zapisze się pani na kurs robienia skarpet? - namawiała Lydia. - Jestem pewna, że polubi pani to zajęcie.

- Sądzę, że tak - powiedziała Elise. Życzliwość właścicielki sklepu znów wprowadziła ją w dobry humor. Wyjęła z torebki książeczkę czekową i wypisała żadaną sumę. - Ile uczennic będzie na kursie?

- Maksymalnie sześć.

- Ma pani wiele chętnych?

- Jeszcze nie, dopiero we wtorek wywiesiłam ogłoszenie. Pani jest pierwsza.

- Pierwsza - powtórzyła Elise z wyraźną przyjemnością.

Z niewiadomych powodów banalna informacja podniosła ją na duchu. Poczowała się wyróżniona. Zdecydowała, że jednak kupi bukiet goździków dla Aurory.

ROZDZIAŁ TRZECI

BETHANNE HAMLIN

Nie tak miało wyglądać moje życie - rozpaczala Bethanne Hamlin w drodze na Capitol Hill, gdzie mieszkała. Pokochała zbudowany w 1930 roku dom od pierwszego wejrzenia. Krótki, stromy podjazd prowadził wprost do garażu, betonowe schody wiodły na niewielki ganek. Główne wejście miało formę łuku jak w chatce z bajki. Szczytowa ściana wystawała ponad dach. Z umieszczonego we wnęce okna sypialni pana domu na poddaszu roztaczał się widok na całą okolicę. Bethanne często siadywała tam, żeby poczytać lub podumać. W tym właśnie wymarzonym domu spędziła najszcześniejsze lata, póki nie nastąpił wstrząs, porównywalny jedynie z trzęsieniem ziemi.

Wyłączyła silnik swego pięcioletniego plymoutha. Posiedziała jeszcze trochę w samochodzie, zbierając siły, żeby wkroczyć do domu z uśmiechem na ustach. Wreszcie wzięła głęboki oddech, zabrała zakupy z tylnego siedzenia, wysiadła i poszła prosto do kuchni.

- Wróciłam! - zawołała od progu możliwie pogodnym głosem.

Odpowiedziała jej cisza. Bethanne poczuła ulgę.

- Andrew! Annie! - krzyknęła.

Postawiła torbę ze sprawunkami na blacie kuchennym, a następnie nastawiła czajnik. Przed rozwodem nie przepadała za herbatą. W ciągu ostatniego roku niemalże wpadła w nałóg. Wypijała po kilka dzbanków dziennie.

- Już jestem! - oznajmiła jeszcze raz.

Nadal nikt nie odpowiadał.

Po kilku minutach woda zawrzała. Bethanne umieściła w porcelanowym dzbanku po babci torebkę earl greya i zalała ją wrzątkiem. Następnie usiadła przy stole w małej wnęce, zatopiona w niewesołych rozmyślaniach. Usiłowała odnaleźć jakąś logikę w wydarzeniach ostatnich dwóch lat. Jak do tej pory nie doszła do żadnych sensownych wniosków. Ciągle odnosiła wrażenie, że świat stanął na głowie, jakby pory roku zmieniły kolejność albo księżyc zastąpił słońce. Nadal nie pojmowała, co ją spotkało i z jakiej przyczyny.

Katastrofa nastąpiła szesnaście miesięcy wcześniej, w dniu świętego Walentego, z samego rana. Dzieci już wstały, szykowały się do szkoły. Słyszała odgłosy krzątania w ich sypialniach.

Wcześniej, kiedy jeszcze okupowały łazienkę, narzuciła szlafrok i naszykowała w kuchni śniadanie. Kiedy wróciła do sypialni, ujrzała męża siedzącego na łóżku z podkurczonymi nogami, z kolanami pod brodą i twarzą ukrytą w dłoniach. Z początku pomyślała, że złapał grypę. Grant zawsze wstawał wcześniej, o tej porze zwykle był już ubrany. Uwielbiał swoją pracę brokera w doskonale prosperującej agencji nieruchomości. Ponieważ dobrze zarabiał, Bethanne nie musiała pracować. Po urodzeniu Andrew, a trzynaście miesięcy później Annie stwierdziła, że dbanie o dom i opieka nad dziećmi w zupełności zaspokajają jej ambicje. Grantowi bardzo odpowiadało, że żona poświęca jemu i dzieciom całą energię. Był bardzo dumny z wytwornych przyjęć, które od czasu do czasu wydawała dla jego kolegów z firmy.

- Grant - zagadnęła przyjaźnie, nie przeczuwając, co ją czeka.

Podniósł na nią udręczoną, zbolaną twarz.

Bethanne usiadła obok niego. Położyła mu rękę na ramieniu.

- Co ci jest? - spytała łagodnie.

Grant otworzył usta, ale nie padło z nich ani jedno słowo, jakby mu mowę odjęło. Akurat wtedy Annie zawołała ją z dołu. Rozdarta między

potrzebami męża i dzieci, uściśnęła ramię Granta i zapewniła, że za chwilę wróci. Wyprawienie dzieci do szkoły zajęło jej więcej czasu, niż przypuszczała. Dopiero po dziesięciu minutach znów weszła do sypialni. Zastała męża w tej samej pozycji co wcześniej, z równie posępną miną. Spróbowała sama odgadnąć, co go trapi. Tydzień wcześniej przeszedł rutynowe badania lekarskie. Twierdził, że jest zdrowy. Wtedy uwierzyła mu bez zastrzeżeń. Teraz zaczęła podejrzewać, że ukrywał jakąś poważną chorobę, i dopiero dojrzał do tego, żeby ujawnić prawdę. Usiadła obok niego.

- Dzisiaj walentynki - oznajmił nieswoim, schrypniętym głosem.

Bethanne pocałowała go w policzek. Grant zeszywniał. Coraz bardziej zaniepokojona, ponownie zapytała o powód zmartwienia. Zaczął płakać, łkanie wstrząsało całym jego ciałem. W ciągu dwudziestu lat pożycia zaledwie kilka razy okazał równie silne emocje. Nadal nie potrafiła odgadnąć ich charakteru.

- Nie chcę cię ranić... - zaszlochał.

- Cokolwiek ci dolega, wyrzuć to z siebie.

Złapał ją za ramiona, wbił w nie palce aż do bólu.

- Jesteś dobrą kobietą, Bethanne, ale... - przerwał, jakby brakowało mu odwagi, żeby dokończyć - ..już cię nie kocham.

Bethanne zachichotała, przekonana, że stroi sobie z niej żarty.

- Co to ma znaczyć? Jesteśmy małżeństwem od dwudziestu lat. Oczywiście, że mnie kochasz!

Zamknął oczy, jakby nie mógł dłużej na nią patrzeć.

- Niestety nie. Tak mi przykro, tak bardzo przykro... Próbowałem, Bóg jeden wie, jak bardzo się starałem, ale już dłużej nie wytrzymam. Muszę jakoś rozwiązać tę łamigłówkę.

Bethanne osłupiała. Żyła z tym człowiekiem dwadzieścia lat, dzieliła z nim łóżko i nagle, w mgnieniu oka stał jej się obcy.

- Wytłumacz, o co chodzi - poprosiła drżącym głosem.

- Nie zmuszaj mnie do zwierzeń. Nie chcę tego mówić!

- Czego? - nie dawała za wygraną.

Nawet nie wpadła w złość. Zawsze uważała, że wszystko można naprawić jak ciekący kran lub zepsute urządzenie elektryczne. Wystarczy postawić diagnozę, a następnie poszukać właściwego rozwiązania ewentualnie wezwać

odpowiedniego fachowca, żeby wszystko znów działało jak należy.

- Istnieją powody, dla których przestałem cię kochać - wycedził przez zaciśnięte zęby, wyraźnie zirytowany. Odrzucił z wściekłością kołdrę i wstał z łóżka.

Gwałtowna reakcja męża do reszty zbiła Bethanne z tropu.

- Co w ciebie wstąpiło? - wykrztusiła.

- Naprawdę jesteś aż tak tępa, że muszę wyłożyć kawę na ławę?! - warknął, wkładając spodnie.

- Co takiego?

Opryskliwy ton ostatniego zdania sprawił, że nie dotarł do niej sens słów. Nagła brutalność męzczyzny, którego przed chwilą widziała we łzach, zaskoczyła ją do tego stopnia, że wyciągnęła ku niemu ręce, gotowa przyjąć na siebie każdy ciężar, byleby znów zaczął ją traktować po ludzku.

Grant znieruchomiał z jedną ręką w rękawie koszuli, którą właśnie wkładał.

- Mam inną - wyznał wreszcie.

- Kochankę? - wyszeptwała z trudem wyschniętymi wargami.

Zrozumiała wreszcie, ale nadal nie wierzyła, że Grant ją zdradza. Owszem, bohaterowie filmów i książek miewali romanse. W prawdziwych

małżeństwach również dochodziło do skandali, ale Bethanne wbrew logice faktów tkwiła w przekonaniu, że jej coś takiego spotkać nie może. Trwała w odrętwieniu jeszcze przez parę minut, podczas gdy mąż szykował się do pracy.

- Kiedy? Jak? - wyjąkała, gdy wreszcie przyjęła do wiadomości okrutną prawdę.

- Poznałem ją w biurze. Od niedawna pracuje dla mojej firmy jako agentka. Walczyłem z tym uczuciem, próbowałem jakoś wszystko pogodzić, ale dłużej nie potrafię prowadzić podwójnego życia. - Westchnął ciężko. Nagle, w mgnieniu oka zmienił ton z błagalnego na oskarżycielski, jakby to on został skrzywdzony: - Do licha, Bethanne, nie komplikuj dodatkowo tak trudnej dla mnie sytuacji! - wykrzyknął.

Wyjął z szafy walizkę. Postawił ją na łóżku, jakby od dawna planował wyprowadzkę. Wrzucił bezładnie do środka całą bieliznę z komody. Bethanne otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Do tej pory dbał o siebie aż do przesady: pielęgnował włosy, starannie wygładzał każdą sztukę ubrania, żeby nic nie pognieść.

Setki pytań krążyły jej po głowie. Zadała najważniejsze:

- Dokąd pójdziesz?

- Do Tiffany - oświadczył.

- Porzucasz mnie dla kogoś o takim imieniu?! - Nie wiadomo dlaczego w najstraszliwszym momencie swego życia parsknęła nerwowym śmiechem.

Grant patrzył na żonę, jakby straciła rozum, co prawdopodobnie faktycznie nastąpiło.

- Idź, chcę, żebyś sobie poszedł - oświadczyła niemalże mimochodem, przeganiając go dodatkowo machnięciem ręki.

Na potwierdzenie swoich słów zeszła do sutereny, wywlokła drugą, jeszcze większą walizkę i przydźwigała na górę. Po drodze usiłowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek poznała rywalkę. W końcu doszła do wniosku, że nigdy jej nie widziała. W biurze Granta pracowało mnóstwo kobiet, ale nie zwracała na nie uwagi. Nigdy nie posądzała męża o skłonności do zdrady. Z oburzenia zaparło jej dech. Mimo to niemalże wbiegła dwa piętra po schodach, gnana wściekłością, taszcząc ciężką walizę. Rzuciła ją niedbale na łóżko. Tumany kurzu zawirosowały w powietrzu, po czym osiadły na bielutkiej pościeli. Gwałtownym ruchem otworzyła drzwi szafy, chwyciła całe naręczce garniturów, wywlokła je wraz z wieszakami i zaczęła byle jak upychać w walizce.

- Przestań, Bethanne! - wrzasnął Grant.

- Nie! - warknęła. Później już ciszej zasypała go pytaniami: - Jak długo to trwa? Ile ta Tiffany ma lat? Jest mężatką czy tylko ja zostałam porzucona?

Grant odwrócił wzrok. Bethanne, nadal w szoku, zapragnęła nagle poznać całą prawdę. Z początku nerwowo pakowała rzeczy bez ładu i składu, po chwili bezwiednie wróciła do starych nawyków. Zaczęła składać je starannie w kostkę, wygładzając każdą sztukę.

- Jak długo to trwa? - drążyła dalej bolesny temat. - Miesiąc, dwa?

- Oszczędź mi tych pytań, Bethanne - poprosił, nadal unikając jej wzroku.

- Jak długo mnie zdradzasz? - naciskała, zdecydowana wymusić zeznania choćby przemocą.

Grant znowu westchnął, jakby to ona wyrządziła mu krzywdę.

- Dwa lata.

- Dwa lata! - wykrzyknęła ze zgrozą. - Natychmiast wynoś się z tego domu! Idź stąd i nigdy nie wracaj! - zażądała z pełnym przekonaniem. W tym momencie naprawdę wierzyła, że nigdy więcej nie zechce go widzieć.

Wkrótce za nim zatęskniła. Oddałaby dziesięć lat życia, popełniłaby każde szaleństwo, byle go

odzyskać. Była gotowa go błagać, przekonywać, a nawet przekupić adwokata, żeby tylko nie doszło do sprawy rozwodowej. W końcu przyjęła do wiadomości, że nie po to odchodził do innej, żeby wracać na łono rodziny. Przeżyła załamanie nerwowe. Nie pozostało jej jednak nic innego, jak przyjąć okrutny wyrok losu. Nie miała żadnego wpływu na decyzje Granta. Nie kochał jej już. Rozpad małżeństwa zrujnował jej psychikę. Żyła już chyba tylko z obowiązku. Gdyby dzieci jej nie potrzebowały, pewnie zrobiłaby sobie coś złego.

W końcu odwiedziła adwokata. Trafiła na uczciwego, życzliwego człowieka. Dzięki jego pomocy uzyskała korzystne warunki finansowe. Grant spłacił wszelkie pożyczki na dom, samochód oraz z kart kredytowych, tak że obydwójce zostali bez długów. Sąd obciążył go alimentami na żonę na okres dwóch lat i na dzieci do czasu ukończenia szkoły średniej. Koszty przyszłych studiów syna i córki zostały podzielone pomiędzy obydwójce małżonków. Grant jak do tej pory regularnie płacił wszelkie należności, bynajmniej nie z troski o rodzinę, tylko na mocy wyroku. Bethanne zdawała sobie sprawę, że powinna poszukać pracy, zanim obowiązek alimentacyjny ustanie, lecz stale

wynajdywała jakieś powody, żeby odłożyć decyzję na później.

Dopiero pół roku po rozwodzie nieco ochłonęła. Powiedziała sobie twardo, że należy pogodzić się z rzeczywistością, ułożyć sobie na nowo stosunki z dziećmi, poszukać przyjaciół i rozpocząć nowe życie. Cóż z tego, nadal wolałaby stare.

Upiła łyk już prawie zimnej herbaty. Szesnastoletnia Annie wyrwała ją z zamyślenia, wpadając jak burza do kuchni z zaczerwienioną twarzą, zlepionymi potem włosami, w spodenkach i koszulce gimnastycznej. Wyglądało na to, że intensywnie biegała. Przemierzała od siedmiu do piętnastu kilometrów dziennie, od kiedy Grant opuścił rodzinę. Była z nim mocno związana. Ciężko przeżywała rozwód rodziców. Niestety, wyładowywała frustrację nie tylko za pomocą wysiłku fizycznego. Znalazła sobie też nowych znajomych, których Bethanne nie akceptowała. Martwiła się o córkę.

Annie obarczała winą za rozpad rodziny jedynie Tiffany. Dokuczała jej wszelkimi możliwymi sposobami. Nowi koledzy jeszcze ją podburzali do skandalicznych wybryków. Andrew wyjawiał, że prosiła w imieniu Tiffany różne firmy o przysłanie katalogów towarów, których tamta wcale nie

potrzebowała, wysyłała głupie ogłoszenia do gazet o sprzedaży różnych rzeczy, podając obcym jej numer telefonu, podpisywała w jej imieniu subskrypcję czasopism. Bethanne bynajmniej nie kochała piętnaście lat młodszej rywalki, ale obawiała się, że o władnięta żądzą zemsty córka w końcu popadnie w konflikt z prawem. Ilekroć próbowała przemówić jej do rozsądku, Annie milczała jak głaz.

- Nie zostawiłaś mi wiadomości, gdzie idziesz - wytknęła.

Chodziło jej nie tyle o informację, ile o przestrzeganie zasady lojalności.

- Wybacz, uznałam to za zbędne. Wiesz przecież, że codziennie biegam - odburknęła nastolatka bez cienia skruchy. Wyjęła z lodówki butelkę wody mineralnej, po czym wielkimi łykami wypila połowę zawartości. - Jak było w biurze pośrednictwa pracy? - zmieniła pośpiesznie temat.

- Nieszczęśliwie - westchnęła ciężko jej matka. Tym razem ona wolałaby uniknąć tłumaczenia. - Informacja, że umiem dobrze piec, nie zrobiła na urzędniku najmniejszego wrażenia.

- Powinnaś pracować w piekarni.

Bethanne rozważała taką możliwość, ale nie pociągało jej przygotowywanie wypieków codziennie przez osiem godzin.

- Nikt nie miał takich pysznych tortów ani tak wystawnych urodzin jak ja i Andrew. Wszyscy koledzy nam zazdrościli.

- Organizowałam też inne uroczystości, ale to było całe wieki temu. Pod koniec lata zacznę szukać na serio.

- Oj, mamó, ciągle zwlekasz! - jęknęła Annie, przewracając oczami.

Miała rację. Po tylu spędzonych w domu latach Bethanne nie widziała dla siebie miejsca na rynku pracy. Bała się, że utknie na resztę życia jako sprzedawczyni w sklepie spożywczym. Spróbowała przynajmniej stworzyć pozory, że nie czeka beczynnje, aż manna spadnie z nieba.

- Myślałam o sprzedaży kosmetyków - zaczęła ostrożnie. Kątem oka obserwowała reakcję córki. - Wiele kobiet osiąga w tej branży niezłe dochody. Sama ustalałabym sobie godziny pracy i...

- Rozczulasz mnie, mamusiu - zakpiła dziewczyna. - Obydwe wiemy, że nie masz żyłki do handlu. Znajdź coś, co ci naprawdę odpowiada. Umiesz robić wiele rzeczy. Gdzie twoje poczucie własnej wartości?!

Czternaście miesięcy temu zostało wdeptane w błoto - pomyślała Bethanne. Na wszelki wypadek przemilczała gorzką uwagę.

- Nienawidzę pracy biurowej - mruknęła. Nie sądziła, że wytrzyma w jednym pomieszczeniu od dziewiątej do piątej.

- Zrób więc cokolwiek, choćby dla własnej satysfakcji, niekoniecznie dla zysku.

- Mądrała - odburknęła Bethanne, nie ukrywając irytacji. Wszyscy, dosłownie wszyscy, łącznie z adwokatem, radzili jej to samo. Westchnęła ciężko. - Pewnie znowu mnie wyśmiejesz. Przechodząc obok sklepu z włóczką, przypomniałam sobie, że dawniej bardzo lubiłam robić na drutach. Naszła mnie ochota, żeby znów spróbować. Zrobiłam ci żółty niemowlęcy kocyk, pamiętasz?

- Ależ oczywiście! - wykrzyknęła Annie, nieco zażenowana. - Spałam z nim do dziesiątego roku życia.

Trzasnęły drzwi. Wrócił Andrew. Pracował w osiedlowym domu towarowym „Safeway” w niepełnym wymiarze godzin. Wszedł do kuchni, zrzucił plecak i zajrzał do lodówki. Nie zainteresowało go nic prócz wody mineralnej. Wyjął sobie butelkę, oparł się plecami o drzwi, następnie

popatrzył spod zmarszczonych brwi na matkę i siostrę i spytał, o czym mowa.

- Mama chciałaby znów zacząć robić na drutach.

- Dopiero rozważam ten pomysł - sprostowała Bethanne.

- Na pewno dasz radę - zapewniła Annie.

- No jasne - poparł ją Andrew.

Bethanne szczerze w to wątpiła. Brakowało jej energii nie tylko na szukanie pracy czy zorganizowanie sobie życia na nowo, ale nawet na siedzenie w fotelu z drutami w ręku.

- Może spróbuję - mruknęła niepewnie.

- Tylko nie odkładaj decyzji w nieskończoność, jak zwykle. Gdzie ten sklep? - Annie wyciągnęła z kredensu książkę telefoniczną.

- Przy Blossom Street.

- Pamiętasz nazwę?

- Nie, ale posłuchaj...

Annie nie słuchała. Już przerzucała żółte strony. Odszukała właściwą. Wybrała numer, po czym wręczyła Bethanne słuchawkę.

Powitał ją miły kobiecy głos:

- Tu „Świat Włóczki”, w czym mogę pomóc?

- Dzień dobry. Nazywam się Bethanne Hamlin. Nazwisko nic pani nie powie, ale chciałabym się dowiedzieć, czy zostały jeszcze wolne miejsca na

kursie dziewiarskim. - Zrobiła przerwę dla nabrania oddechu. - Robiłam na drutach bardzo dawno temu. Wiele zapomniałam. Najlepiej sama przyjdę.

- Znowu przerwała. Podniosła wzrok na córkę.

Annie poprosiła o słuchawkę, po czym przechyliła ją, nie czekając na pozwolenie.

- Doskonale, proszę ją zapisać - zarządziła. Zapisała dane na kartce. - Przyjdzie na pewno.

- Zapisalaś mamę na lekcje? - dopytywał się Andrew.

- Jasne.

- Wiesz co, może to nie najlepszy pomysł - zaczęła Bethanne. Wpadła w popłoch, że wyda zbyt dużo pieniędzy. - Bo widzisz...

- Nauczysz się robić skarpetki - przerwała Annie.

- Ależ to okropnie skomplikowane! - wykrzyknęła Bethanne, kręcąc głową.

- Dawniej doskonale ci szło - przypomniał Andrew.

- Właścicielka, pani Lydia Hoffman, zapewnia, że to nic trudnego - poparła go siostra. - Nie chcę słuchać żadnych wymówek. Pójdiesz tam i koniec.

- Oczywiście, że idziesz - zawtórował brat.

- No dobrze - mruknęła Bethanne z rezygnacją.

Dopiero teraz zauważyła, że kto inny przejął ster rządów w jej domu. Nawet nie spostrzegła, kiedy nastąpiła zamiana ról.

Tytuł oryginału:
A Good Yarn

Pierwsze wydanie:
MIRA Books, 2005

Opracowanie graficzne okładki:
Robert Dąbrowski

Opracowanie redakcyjne:
Małgorzata Pogoda

Korekta:
Bronisława Dziedzic-Wesołowska

© 2005 by Debbie Macomber

© for the Polish edition by Harlequin Polska sp. z o.o.,
Warszawa 2007, 2012

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-238-9617-3

Konwersja do postaci elektronicznej:
Legimi Sp. z o.o.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).